ZIEMOWIT
SZCZEREK
PRZYJDZIE MORDOR
I NAS ZJE, CZYLI
TAJNA HISTORIA
SŁOWIAN

1. O ja

Pogranicznik w czapie jak dekiel od studzienki ściekowej patrzył na mój paszport.

– Łukasz Ponczyński – przeczytał.

– No tak – powiedziałem – nic nie poradzę.

– Narkotyków nie masz? – spytał polszczyzną dziwnie pozbawioną akcentu i ten brak akcentu nie pasował do jego niezgrabnego munduru, do tej jego czapki o średnicy koła od roweru, do której przypięty tryzub też zresztą nie pasował, bo tryzub to pasuje do czapki austriackiego wzoru, a nie do tej radzieckiej stolnicy.

– Czego? – spytałem, gapiąc się na tę czapkę. – Narkotyków? A co to?

Uśmiechnął się i przez chwilę w tym uśmiechu przypominał Eugeniusza Bodo z przedwojennych plakatów. Wbił mi pieczątkę do paszportu. – A na Ukrainę po co? – spytał jeszcze Bodo.

– Kości przodków wycałować – odpowiedziałem, choć specjalnie przodków na Ukrainie nie miałem. Pogranicznik się roześmiał.

– Idź – powiedział, przesuwając paszport w moją stronę po blacie obłażącym z politury – całuj.

Na busiki mówiło się tu „marszrutki". Tak mi powiedział Hawran, który na Ukrainie był już wcześniej. Teraz szliśmy we dwóch przez przykurzony, nierówny majdan. Rozglądałem się. Pierwszy raz widziałem tę poradziecką przestrzeń. Świat, który do tej pory mogłem sobie jedynie wyobrażać, nabierał kształtu, i to jakiego. Niektórzy faceci chodzili po nim w domowych kapciach w kratę. Jezus wymalowany na ścianie cerkwi był ciemny jak Kaukaziec. Od blaszanych kopuł rżnęło po oczach słońce.

Gapiłem się ukradkiem na ruskich bojczików w czarnych spodniach i mokasynach. Pierwszy raz zobaczyłem ich w naturalnym środowisku. Bojcziki emanowali bandyckim spokojem, ale widać było, że wystarczy sekunda, jeden impuls, pół impulsu, by dostali korby. Czułem to. Stali, charchali pod nogi i omawiali coś półgłosem, strzelając wokół białkami oczu.

A marszrutki to były stare mercedesy sprintery, fiaty ducato czy volkswageny transportery. Były jak woły pociągowe: wielkie, zakurzone, szeroko rozklapłe od ciągłego przeciążenia. Na bokach niektórych wypisane było coś po niemiecku: a to KREUZBERG KEBAB MUSTAFA, a to WURST UND SCHINKEN GMBH. Wyglądały jak sprzedane w jasyr. Musiały zapomnieć o swoim dawnym, szczęśliwym życiu na Zachodzie, o równych szosach i automatycznych myjniach, o garażach i odkurzaniu tapicerki miękkimi dłońmi. Tutaj zaprzęgnięte były do wolnej pracy w brudzie i znoju aż do

śmierci. Los rabski. Ich metalowe kości miały w to błoto już na wieki wsiąknąć i nigdy nawet niczego nie użyźnić. Mercedesy sprintery i volkswageny transportery już nigdy nie miały ujrzeć wylizanego vaterlandu, alles ist verloren, alles ist kaputt. I stały teraz, kaputnięte takie, w tym żółtym upale, który zalewał zachodni skraj Ukrainy.

Karoseria naszej marszrutki, na której desce rozdzielczej leżała tekturka z napisem „LWIW", rozgrzana była jak blacha w starej kuchni. Nie dało się jej dotknąć. Chłonąłem tę nową rzeczywistość, zagęszczoną w upale jak kisiel.

Władowaliśmy plecaki na pakę i usiedliśmy. W rozgrzanym, pustym jeszcze wnętrzu tańczyły drobinki kurzu. Pachniało skajem siedzeń, smarem i benzyną. To był przyjemny zapach.

Kierowca miał przedramiona całe w zielonych tatuażach. Był tam jakiś rekin, jakaś syrena. Patrzyłem, czy ma Lenina, ale nie miał. Całe szczęście, że choć gwiazda była. Nie poruszył się, dopóki całej marszrutki, od ściany do ściany i od podłogi po sufit, nie wypełniło różowe ludzkie ciało odziane w spraną bawełnę. Dopiero wtedy drgnęły mu mięśnie pod tymi zielonymi dziarami. Wrzucił pierwszy bieg i marszrutka ruszyła. Wydawało się przez chwilę, że ten przeciążony z pięć razy busik wypieprzy się jak długi na wymęczony asfalt, ale po chwili złapał pion i jakimś cudem wytoczył się z majdanu na szosę.

Było gorąco i duszno, a okien otworzyć nie pozwalali. Gdy próbowałem, to pół marszrutki zaczęło na mnie wrzeszczeć, żebym zamknął, bo wszystkich zawieje i pomrą. Babuszki na mnie krzyczały, krzyczeli młodzi kolesie z butami w szpic,

krzyczały dziewczynki z zawieszonymi na szyjach komórkami, z których dobiegało bzyczące ruskie dicho.

– Zostaw – powiedział Hawran ze zblazowaną miną znawcy tematu – to nic nie da. Tutaj nie wolno otwierać okien. W autobusach, pociągach. Nie wolno i już. Zakazane. U nas się mlekiem nie popija mięsa i wodą owoców, a tutaj się nie otwiera okien w czasie jazdy. Siadaj na dupie i uszanuj.

Tak, Hawran już kiedyś był na Ukrainie. I z tego powodu robił teraz za mędrca-przewodnika.

Wrócił z tej Ukrainy jak traper z dzikich gór i tak długo opowiadał w Krakowie o cudach i niesamowitościach podróży, że w końcu się z nim wybrałem – zobaczyć na własne oczy. I oto jestem.

Za brudnymi firankami ciągnęła się Galicja. Teraz już ukraińska, nie polska. I wyglądało to wszystko tak, jakbym wjechał na teren historii alternatywnej własnego kraju. Tak zresztą było przecież naprawdę.

A potem zaczął się Lwów.

To miasto nie powinno istnieć – myślałem, patrząc przez okno. Polski mit jego stracenia jest tak mocny, że po prostu nie powinno go być. A ono stało sobie w najlepsze i w dodatku bezczelnie wyglądało mniej więcej tak, jak przed swoją regionalną apokalipsą…

Od razu, gdy tylko wysiedliśmy z marszrutki na lwowskiej ziemi, Hawran poleciał do apteki kupić ten legendarny balsam Wigor, o którym tyle już zdążyłem od niego usłyszeć.

– Ten Wigor – mówił Hawran – to jest formalnie niby lekarstwo, dlatego można go kupić tylko w aptece. Nie wiem na co to lekarstwo, na coś tam, wyciąg z dwunastu ziół, dwunastu ukraińskich wojowników, men, a działa jak bałtycka herbatka z Pielewina, kokaina z wódką. Wszyscy Polacy, co przyjeżdżają do Lwowa, to tu piją.

Usiedliśmy na jakimś koszmarnym placu zabaw, pełnym kiepów, porozbijanych butelek. Zaraz obok stał pomnik Stepana Bandery. Bandera był w krawacie i w rozwianym, rozpiętym prochowcu i miał taką minę, jakby stojąc na przystanku tramwajowym, zorientował się, że nie wyłączył żelazka. Był desperacko gigantyczny i budził przede wszystkim rozczulenie w swoim przerośnięciu i zagubieniu.

Usiedliśmy i Hawran rozrobił balsam Wigor z kwasem chlebowym. Piliśmy, patrząc, jak po placu wolno spacerują ludzie. Idealnie pasujący do otoczenia. Tak samo jak ono ledwo ledwo zbierający własne kształty do kupy.

No ale balsam faktycznie działał. Piłem go i – faktycznie – czułem, jak w moje żyły wstępuje siła, moc i euforia, jakiej nie czułem już od bardzo, bardzo dawna.

A im więcej piłem, tym bardziej podobało mi się tutaj. Bo wszystko tu było podkręcone na maksa. Do oporu.

Sowieckie samochody rwały po tych monstrualnych wybojach jak popieprzone, gubiąc jakieś przerdzewiałe części. Jak żywe trupy w filmach o zombie apokalipsie. Ze ścian starych kamienic sterczały kominy piecyków-kóz. Na dachach rosły drzewka. Na trawniku, gdzieś na Żółkiewskim Przedmieściu, leżała staruszka. Podbiegliśmy, by jej pomóc

i poczuliśmy bijącą od niej woń alkoholu. Rzuciliśmy się na nogi ją stawiać, ale babcia nie potrzebowała naszej pomocy. Leżała sobie w słońcu, tchnęła alkoholem i dobrze jej było na świecie, jak Diogenesowi wylegującemu się przed beczką. Łagodnym głosem kazała nam się odpierdolić, więc w końcu zostawiliśmy ją na tym trawniku i sami poszliśmy się upijać. Wszystkim, czym się dało.

Ukrop lał się z nieba i sprzedawczynie wychodzące palić papierosy przed sklep kryły się w maleńkich placuszkach cienia rzucanego przez okapy domów. Zupełnie jakby kryły się przed deszczem. Ulica wyglądała, jakby przez ostatnich sto lat świat ograniczył się do starzenia. Do zużywania się. I do niczego więcej. Kamienie brukowe w jezdni rozjeżdżały się i klęsły w błocie. Chodniki przypominały narowistą rzeczkę zastygłą w betonie. Gdzieniegdzie ziała otwarta studzienka ściekowa. Kamienice ociekały starością, brudem i zniszczeniem.

Nie mogłem pojąć, czemu tak dobrze się czuję.

Po rynku dreptali starsi Polacy: lokalni i przyjezdni. Można było od razu rozróżnić, kto jest kim. Ci przyjezdni łazili powoli, z namaszczeniem, nieco natchnionym krokiem, i półgłosem narzekali. Głośno chyba jednak się bali. Mieli pretensje, że rozjebane, że zniszczone, że UPA, że Bandera. Jęczeli, że Jałta i Stalin. Mendzili, że Szczepcio i Tońcio.

Ci lokalni Polacy natomiast kręcili się żwawo, oczkami łyskali w jedną i w drugą, jak to ludzie węszący za interesem. Bezbłędnie wyłuskiwali z tłumu turystów z Polski, podchodzili i pytali, czy nie trzeba mieszkania na wynajem

albo mapki z polskimi nazwami ulic. Dorzucali na zanętę parę słów o złych Ukraińcach i wielkości dawnej Rzeczpospolitej.

I ci Polacy z Polski łapali się na tę bajerę Polaków z Ukrainy jak młode rybki. Wystarczyło, że podszedł taki lwowski Polak, poopowiadał o przedwojennym Lwowie, zanucił *W dzień deszczowy i ponury*, powiedział „czujci si jak u siebi w domu, bo to i wasze miasto, ta joj", a już Polacy z Polski cali byli we łzach, już byli rozklejeni cali, rozjechani, jakby ich samochód potrącił, już chlipali, już im z nosa leciało, już się za portfele łapali, mapki kupowali, przewodniki, mieszkania wynajmowali.

I taki właśnie lwowski Polak do nas podszedł. Miał na imię Jurij. I choć po polsku średnio mówił, to się zarzekał, że Polak z niego z krwi i kości. Co akurat na nas zresztą wrażenia nie robiło, bo ostatnią rzeczą, której wtedy we Lwowie szukaliśmy, była polskość.

– Dobrze, że Lwów nie jest polski – mówiłem akurat Hawranowi, niesiony powigorowym słowotokiem. – Bo cóż to byłby za fun przyjechać do polskiego Lwowa. Tak jakbyś do Poznania pojechał. Albo do Wrocławia. A tak – proszę bardzo. Przecież co tu się dzieje. Przecież, no stary. Rozejrzyj się. Odpadasz. Wysiadasz. Men.

I brałem łyk balsamu Wigor, po którym świat już nie był tym, czym był.

No, ale podszedł ten Jurij. Z wąsem pod nosem, oczami smutnymi i z mapą Lwowa na sprzedaż. I mówił, że mieszk-

kanie ma tanio. Mapy nie chcieliśmy, ale jakieś lokum by się zdało – ocenił Hawran, i trudno było się z nim nie zgodzić, bo wieczór się zbliżał, a my byliśmy już rozkosznie nawaleni, ale raczej bez planu. Spytaliśmy Jurija, gdzie ma to mieszkanie, na co on, że niedaleko, że luz.

– Dobra – powiedział Hawran – to zrzucimy plecaki i będziemy mieli kimę. No i wiesz – ściszył głos, zerkając na mnie konspiracyjnie – mamy lokalnego. Rozumiesz.

Kiwnąłem głową, że tak. Ale po zastanowieniu powiedziałem, że jednak nie.

– No – westchnął Hawran, jakby do idioty przemawiał – mamy lokalnego do picia. Co to za Ukraina, co to za hardkor bez picia z lokalnymi, men. U Ruskich musisz się z Ruskimi napić. Inaczej się nie liczy.

– Przecież ten mówi, że Polak.

– Jaki to, kurwa, Polak – odpowiedział Hawran. – Zresztą, nawet jeśli Polak, to i tak Ruski. Wyobrażasz sobie – żyć tu całe życie i nie być Ruskim?

– Idziemy, idziemy – niecierpliwił się pan Jurij, rozglądając się dziwnie niepewnie dookoła.

Blisko jednak nie było. Szliśmy wzdłuż torów tramwajowych wyrzynających się z bruku jak wyprute z ręki żyły, a później skręciliśmy w prawo, w przepust między karłowatymi kamienicami.

I weszliśmy do innego świata.

– Gdzie my jesteśmy? – spytał Hawran, rozglądając się dookoła oczami jak pięciozłotówki.

– Zamarstyniw – odpowiedział Polak Jura. – Znaczy: Zamarstynów – poprawił się.

– Ynów, ynów, nie yniw – poklepał Hawrana po plecach.

Ta okolica nie przypominała niczego, co do tej pory widziałem. To była dzielnica, która udowadniała, że ludzkie osiedla mogą się rozrastać i rozpleniać same, jak lasy, jak chaszcze. Wystarczy nie przycinać. Że to, co wytwarza człowiek, niczym się nie różni od natury i, tak samo jak las obrasta krzaczorami, mchem, jemiołą, tak tutaj wszystko, wszystkie domy obrosły jakimiś budami, jakimiś płytami pilśniowymi, kawałkami billboardów nawet, które montowano zamiast ścian i dachów szop. Ta rzeczywistość tworzyła się sama, bez planu, kierowana jedynie wewnętrzną potrzebą i możliwością jej spełnienia. Forma i estetyka zostały odrzucone jako sprawy absolutnie drugorzędne. Jako fanaberie.

No i wszystko to taplało się w zielonej kąpieli z pianą. Drzewa i krzaki szalały jak opętane. Czambuły trawy najeżdżały wszystko, co miały na drodze, a nienatura wtapiała się w naturę swobodnie: pęki przewodów zwisały jak liany, stosy rdzewiejącego żelastwa i właściwie wszystkiego zalegającego w bezładzie po podwórkach przypominały coś organicznego, coś, co zaraz zacznie wypuszczać pędy i gałęzie.

Przy czym cała część wspólna, przestrzeń publiczna – po prostu nie istniały. Drogi nie było, bo tę rozjeżdżoną, dziurawą przestrzeń trudno było nazwać drogą. Nie wspominając o takim francuskopieskowstwie jak chodniki.

I w tym wszystkim, w tym całym cudzie, strasznie pachniało świeżo paloną kawą.

– Kawozawod – powiedział Jurij, gdy zobaczył, że ruszamy nosami jak króliczki, i wskazał ceglany budynek stojący za rzędem domów. – Tam kawę robią.

W domu Jurija mieszkała jego żona – wiecznie obrażona pani o nosie zaostrzonym jak ołówek. I starzy rodzice: dziadunio radosny jak pies i urocza babuleńka. Sam dom przypominał kilkanaście domków działkowych zsuniętych razem i połączonych w jeden organizm. Każdy pokój był z zupełnie innej bajki. Najbardziej poruszające były próby ozdobienia tego bezformia. Rabatki na podwórzu otoczone były niby-murkiem z ułożonych na trawie ułomków cegieł, i ten niby-murek z całą powagą pomalowany był białą farbą. Na ścianach wisiały gipsowe stiuki, które musiały kiedyś odpaść z jakiejś kamienicy.

Z dziadkami nie dało się pogadać. Na wszystkie pytania odpowiadali np.: „Jezus Chrystus, król Polski, alleluja, alleluja, amen", albo: „Kto ty jesteś? Polak mały, bolszewika goń, goń, goń". Sprawiali wrażenie, że nie do końca rozumieją, co mówią.

Zrzuciliśmy plecaki w pokoju przypominającym kajutę na jakiejś krypie, zapłaciliśmy Jurijowi i wyszliśmy na podwórze.

– No i co? – spytał Hawran, uśmiechając się półgębkiem z nieodpalonym jeszcze papierosem w ustach.

– No – musiałem przyznać. – Nieźle.

Usiedliśmy przy ustawionym pod czereśnią stoliku. Był okryty ceratą przypiętą do blatu pinezkami, żeby nie odfrunęła. Podałem Hawranowi ogień. Babuleńka przyszła z dwiema herbatami. Wyszedł też dziadunio. Wyjął papierosa i odpalił go zapałką.

Hawran chrząknął.

– Proszu pana – zaciągnął ze wschodnia, patrząc na dziadka – gdzje by tu młożno kupić wódki?

Parsknąłem. Dziadek też wyszczerzył się szeroko i odpowiedział rozedrganą polszczyzną:

– Jeszcze Polska nie zginęła, daj nam, Boże, zdrowie.

– U niego Alzheimer – wytłumaczył pan Jura, który pojawił się w drzwiach. – Idziecie, panowie, jeszcze w miasto, pogulat'? Bo niedługo ciemno będzie.

– A... e... – nie poddawał się Hawran. – A może jakiś kieliszeczek na drogę? Jakiś strzemienny?

– Jaki? – udawał, że nie rozumie pan Jura, bo widać było, że jest średnio entuzjastycznie nastawiony do idei kieliszeczka.

– No może byśmy – wykonał Hawran gest strzelania bani – coś sobie chlup?

Pan Jura popatrzył ponuro na Hawrana, potem na mnie, westchnął i poszedł do domu. Wrócił z wódką i dwoma kieliszkami. Nalał nam.

– A pan? – spytał wyraźnie rozczarowany Hawran.

– Ja nie piję – odpowiedział pan Jurij.

Wypiliśmy w milczeniu, podziękowaliśmy i wyszliśmy.

Hawran czuł się oszukany.

– Co to za kwatera u Ruskiego, co nie pije – warczał. – Mógł powiedzieć na początku, to byśmy poszukali u kogo innego! No żesz kurwa mać...

– No – odpowiedziałem dość bezmyślnie, rozglądając się po okolicy. – Patrz. Tam jest sklep. Chodź, kupimy sobie jakieś browary.

Było coś lepszego niż browary. Nazywało się „dżintonik" i było sprzedawane w małych buteleczkach po 0,33. Kobieta za ladą posługiwała się liczydłem. Kupiliśmy jeszcze – z czystej ciekawości – kilka paczek suszonych anchois i wyszliśmy

w pachnący kawą wieczór. W drzwiach minął nas żołnierz wojsk MSW. Był wysoki jak latarnia morska. Miał czarny beret i gigantyczne, sztywne pagony, wystające daleko poza ramiona. Przyglądał nam się z taką ciekawością, jakbyśmy stanowili nowy, nieznany gatunek człowieka.

Tak samo patrzyła na nas pani biletowa w tramwaju. Kokosiła się na plastykowym siedzeniu, w niebieskim kitlu, w domowych bamboszach i z rolką biletów zawieszonych na szyi, i obserwowała nas ukradkiem. A my obserwowaliśmy ją.

I znów byliśmy na lwowskim rynku, tyle że zaczęło się już robić ciemno. Krążyliśmy zrujnowanymi uliczkami, popijając dżintonik na przemian z Wigorem i już nam absolutnie w głowach trzeszczało.

Chwialiśmy się właśnie w najlepsze przed katedrą Ormiańską, gdy podeszła do nas ondulowana na różowo baba, po polsku pochwaliła pana Jezusa i zapytała, czy nie szukamy aby kwatery, bo jakby co to ona ma.

– Mamy już – powiedział Hawran – dziękujemy.

– A u kogo? – spytała ona mrużąc oczy.

– A u takiego Jurija – odpowiedział Hawran.

– A gdzie? – upierała się baba. – Jurij, Jurij – zastanawiała się.

– Na Zamarstynowie. Na Kwiatowej. Kwitowej znaczy. Znaczy Kwiatowej. Znaczy, no.

– No co pan! – wydarła się baba, zakumawszy, który Jurij. – U tego złodzieja!

– Ee – powiedział Hawran – dużo to nie wziął. Ale wódki nie chciał pić… – poskarżył się.

– Ale on nie jest Polak! Tylko udaje! – machała rękami baba – on jest niekoncesjonowanym, nieprawdziwym Polakiem i polskich turystów na pokuszenie zwodzi!

– No trudno – mruknąłem. – No ale cóż począć.

– Wyprowadzić się! – powiedziała stanowczo. Wyglądała jak stereotypowa Rosjanka, złote zęby, róż na wyschniętych policzkach. Rosjanka, którą ktoś nieudolnie dubbinguje na polski. – Do prawdziwych Polaków iść żyć! Polacy do Polaków!

– No, następnym razem – powiedział Hawran – to na pewno. Polacy do Polaków i tak dalej, ale teraz, pani wybaczy…

– My tu mamy takie stowarzyszenie – dźgnęła mnie boleśnie purpurowym pazurem w splot słoneczny – Stowarzyszenie Polskich Właścicieli Polskich Mieszkań Pod Wynajem Dla Polskich Turystów Przyjeżdżających Na Lwowską Ziemię, w skrócie ESPEWUPEEMPEWUDEPETEPEENELZEt, pan powtórzy, to zapamięta…

– Popocatepetl – powtórzyłem posłusznie.

– Tak, no i tylko my jesteśmy koncesjonowaną polską organizacją, która ma monopol na wynajmowanie mieszkań przez Polaków dla Polaków…

– A kto wydaje koncesję? – zainteresował się Hawran. Baba go zignorowała.

– Prosimy zgłaszać każdy wypadek nadużycia i w ogóle, no, każdy wypadek podszywania się nie-Polaka pod Polaka, a najlepiej to pojechać do tego Jurija już teraz, zabrać bagaże, i, proszę państwa, ja mam tu takie piękne lokum niedaleczko, na Doro… Sykstuskiej, tak dawajcie, pajediom…

– Dziękujemy, dziękujemy, Bóg panią błogosławi, to jak

przyjedziemy znów zobaczyć miasto Lwów, semper fidelis, lis Witalis – wymawiał się Hawran, gnąc się w ukłonach i rakiem się wycofując. Szybko podłapałem jego strategię i zacząłem robić to samo. Musieliśmy dziwnie wyglądać, grzejąc pokłony przed ondulowaną furią z pazurami jak strzyga, bo ludzie przystawali na ulicy i patrzyli, co też z tego będzie – może jaki teatr uliczny? Ale my odwróciliśmy się i poszliśmy dalej. W ulicę Ormiańską.

Po dwudziestej drugiej miasto już się zamykało. Tak wtedy było, w dwa tysiące drugim roku. O dwudziestej drugiej kończyło się życie, a Lwów, podobnie zresztą jak w tamtych czasach Warszawa, zamieniał się w sypialnię. Porządnie nawaleni snuliśmy się uliczkami i szukaliśmy czegokolwiek, co mogło być otwarte i sprzedać nam procenty.

Wreszcie, gdzieś w okolicach ulicy Łesi Ukrainki, usłyszeliśmy znajome dźwięki. Bardzo znajome. To był *Bal u weteranów*. Lokal mieścił się na parterze i przez okno widać było muzyków: wyglądali jak porządne baciary – kaszkiety kraciate, marynareczki, fulary – wszystko było. Weszliśmy. Usiedliśmy przy stoliku, a wokalista – zasuszony dziod o wyglądzie takim, że Himilsbach by się zaniepokoił, gdyby go zobaczył – zachrypiał:

– Opiwnoczi si z'jawili jakis dwa ciwili. Mordy odrapani, kosmy jak badyli.

– Ty – powiedział skonsternowany Hawran.

– No właśnie – odpowiedziałem wsłuchany.

– Nicz nikomu ne wpowili, tylki mordy bili… – śpiewał dziadek.

– O kurwa – powiedział Hawran zamyślony.

– No – odpowiedziałem.

– Piwo czy wódka? – spytał kelner.

– Wódka – powiedzieliśmy obaj naraz.

– A szo – powiedział kelner, patrząc na nas uważnie i uśmiechając się pod bardzo kelnerskim wąsem – wy dumali szo sered baciariw Ukrainciw ne buło, czy szo?

– Sam żeś jest nebuło czyszo – mruknął pod nosem Hawran, gdy kelner odchodził z zamówieniem.